

Producenci muzyki znów w Łodzi

Grzegorz Walenda

Producent w branży muzycznej to równoprawny twórca, który niekiedy ma większy wpływ na ostateczny kształt nagrania niż wykonawca. Słuchając płyt, rzadko doceniamy jego zasługi. Tymczasem to producent decyduje o brzmieniu utworu, budując odpowiedni nastrój, dobierając oprawę instrumentalną czy kompletując skład akompaniatorów.

Najłatwiej ocenić, co zawdzięczają mu nagrania, jeśli pozbawimy je oprawy. Przykładem wydany niedawno album „Let It Be Naked”, zawierający piosenki Beatlesów w surowej wersji, bez słynnej ściany dźwięku, za którą na oryginalnym wydaniu „Let It Be” odpowiadał Phil Spector – jeden z najsłynniejszych producentów złotej ery rock and rolla. Był nie tylko świetnym fachowcem, ale też utalentowanym kompozytorem. Wspólnie z The Righteous Brothers napisał przebój „You’ve Lost That Lovin’ Feelin’”, który śpiewało wielu wykonawców, jak chociażby amerykański duet Daryl Hall i John Oates. Niestety, kariera Spector’a zakończyła się w zupełnie nie muzycznych klimatach. Twórca „ściany dźwięku”, po trwającym sześć lat procesie, został w 2009 skazany na 19 lat więzienia za zamordowanie w 2003 roku aktorki Lany Clarkson.

Drugim geniuszem rozkwitu rocka był George Martin, również związany z Beatlesami. To jemu grupa zawdzięcza wiele pomysłów, zwłaszcza związanych z oprawą instrumentalną rejestrowanych utworów. Dzięki jego aranżacjom utwory słynnej czwórki do dziś brzmią świeżo i atrakcyjnie.

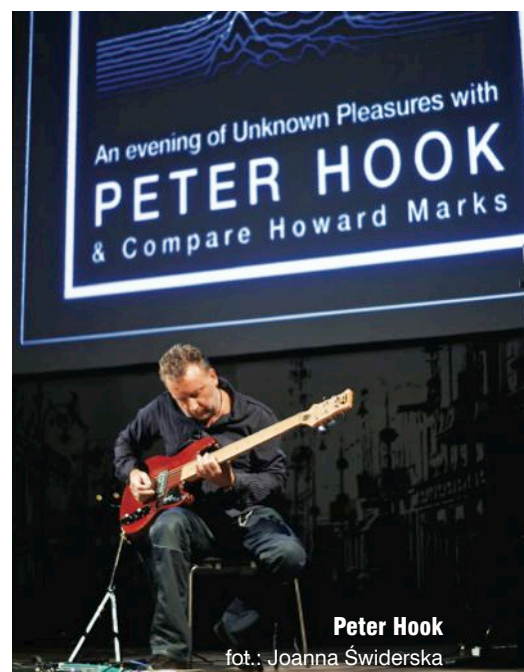
Oczywiście, są artyści, którzy nie dopuszczają nikogo do pomocy w budowaniu nastroju płyty czy kompletowaniu jej zawartości. Tacy jednak na ogół sami biorą na siebie obowiązki producenta i w pełni odpowiadają za gotowy produkt. Ale bywają też wykonawcy, którzy przychodzą do studia tylko z melodią i tekstem, a czasem jedynie z instrumentami i dobrymi chęciami, oczekując, że producent wymyśli wszystko za nich.



Peter Hook (z lewej) i Grzegorz Walenda

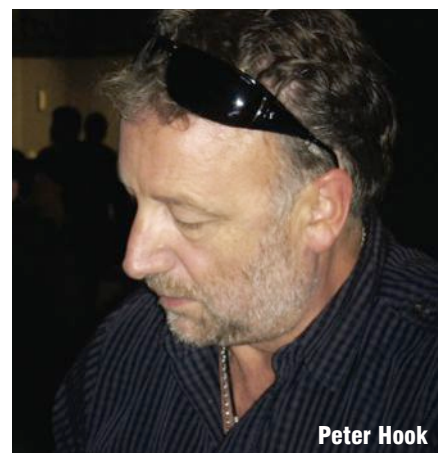
Niedawno Łódź – już po raz drugi – gościła śmietankę światowych producentów. To dla nich stworzono festiwal „Soundedit”, na którym nie tylko mówiono o „ludziach ze złotym uchem” – jak określili najzdolniejszych producentów organizatorzy, przyznając im wyróżnienia pod taką nazwą – ale zorganizowano z nimi spotkania, a nawet warsztaty, na których zainteresowani mogli poznać metody oraz efekty ich pracy. Wreszcie, co chyba najbardziej podobało się melomanom, można było uczestniczyć w koncertach zaproszonych na festiwal gwiazd.

Najsłynniejszą z nich był basista Joy Division i New Order – Peter Hook. Artysta powitał fanów w łódzkiej „Wytwórni”, grając na basie dwa utwory. Później odpowiadał na pytania prowadzącego Piotra Metza, a na koniec każdy z sali mógł go o coś zapytać. Ciekawostką była opowieść o problemach z wyborem nazwy dla angielskiej kapeli. Mało brakowało, a grupa nazywałaby się Warsaw, tyle że nie ze względu na wspomnienia muzyków z naszej stolicy (o ile wiem, wówczas



Peter Hook

fot.: Joanna Świdarska



Peter Hook

jeszcze takowych nie mieli), ale z uwagi na utwór „Warsaw” Davida Bowie z albumu „Low”, który wyjątkowo przypadł im do gustu. Pomysł jednak upadł, ponieważ okazało się, że istnieje już kapela Warsaw Pakt. Wtedy zdecydowano się na „Joy Division”.

A dlaczego akurat Hook przyjechał do Łodzi? Otóż tegoroczna edycja „Soundedit” była okazją, aby przypomnieć zmarłego w 1991 roku Martina Hannetta – producenta związanego z Joy Division i odpowiedzialnego m.in. za brzmienie ich pierwszego albumu („Unknown Pleasures”). Hook opowiadał, że

w czasie pracy w studiu nie podobały mu się pomysły Hannetta. On i pozostali członkowie grupy – młodzi (Hook miał wtedy 21 lat) i zafascynowani dokonaniem The Damned i Sex Pistols – chcieli, by ich muzyka była energiczna, głośna, a nie taka, jak ją sobie wymyślił producent. Teraz Hook docenia pomysły Hannetta i uważa, że bez niego nagrania z „Unknown Pleasures” nie doczekałyby się aż takiej popularności.

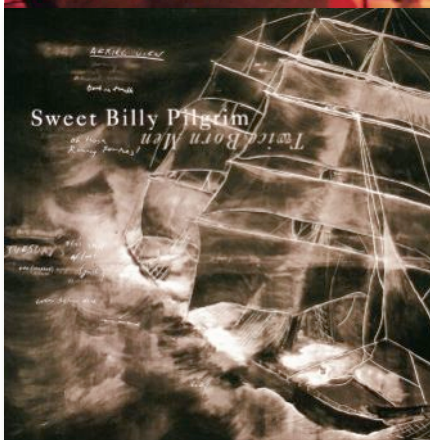
Basista Joy Division był bardzo rozmowny. Wspominał, jak to w trzy godziny muzycy z grupy zarejestrowali swój najsłynniejszy hit – „Love Will Tear Us Apart”. Zdradził, że płytę „Blue Monday” sprzedawano ze stratą, ponieważ nikt się nie doliczył, że zysk jest niższy od kosztu produkcji okładki. Wreszcie, zapytany o kontakty z jednym z największych konkurentów Joy Division, grupą The Smiths, wyznał, że nie przepada za Morrissem.

Kolejnym wydarzeniem wieczoru było rozdanie statuetek „Człowiek ze Złotym Uchem” trzem producentom. Aby przygotować publiczność do kulminacyjnego punktu programu, kilka piosenek zaśpiewał Chris Olley, promujący w Łodzi swój solowy album „A Streetcar Named Disaster”. Rozdanie nagród było okraszone klipami nawiązującymi do osiągnięć laureatów, choć nie tak uroczyste jak na pierwszej edycji festiwalu. Media, niestety, nie dopisały. Szkoda, bo w „Wytwórni” tego wieczoru naprawdę sporo się działo, a impreza, choćby ze względu na gwiazdorską obsadę, zasługiwała na uwagę.

Pośmiertnie wyróżniono Martina Hannetta, doceniając zwłaszcza jego współpracę z Joy Division i New Order, ale też wspominając krótki epizod z U2. W imieniu zmarłego w 1991 roku producenta nagrodę odebrał Chris Nagle, realizator dźwięku, który z nim współpracował.

Druga nagroda przypadła w udziale Andrzejowi Smolikowi, a trzecia – Adrianowi Sherwoodowi, popularyzatorowi muzyki ja-

Sweet Billy Pilgrim



majskiej. Nie był obecny na ceremonii, za to jego sympatycy mogli dzień wcześniej oglądać go na scenie z zespołem Tackhead, w którym wokalistą jest Bernard Fowler, podśpiewujący też w chórkach na trasach The Rolling Stones.

Warsztaty prowadzili producenci, muzycy oraz spece od rejestracji dźwięku. Znaleźli się wśród nich m.in.: gitarzysta Cocteau Twins Robin Guthrie, producent płyt The Strokes Gordon Raphael, jak również Mikael „Count” Eldridge, współpracownik Radiohead, Johna Cale’a, No Doubt, New Order i DJ-a Shadow. Wypada też wspomnieć o grupie Serena Maneesh z Norwegii oraz o łódzkim perkusiście, Marcinie Awierianowie, który niedawno porzucił bębny dla gitary i na czele kapeli Marcine-

ra Awaria śpiewał rocka po angielsku, choć z polskim akcentem.

Nie można pominąć grup The Divine Comedy i Sweet Billy Pilgrim. Zanim o ich występach, małe spostrzeżenie. W studiu, zwłaszcza pod okiem zdolnego producenta, można dokonać cudów. Martin Hannett nieraz wspominał, że członkowie Joy Division przychodzili na sesję bez pomysłu. A potem proszę...

Gorzej, kiedy trzeba się pokazać na żywo. W blasku reflektorów sprawdzają się tylko najlepsi. Jeśli rzeczywiście umieją grać, ich



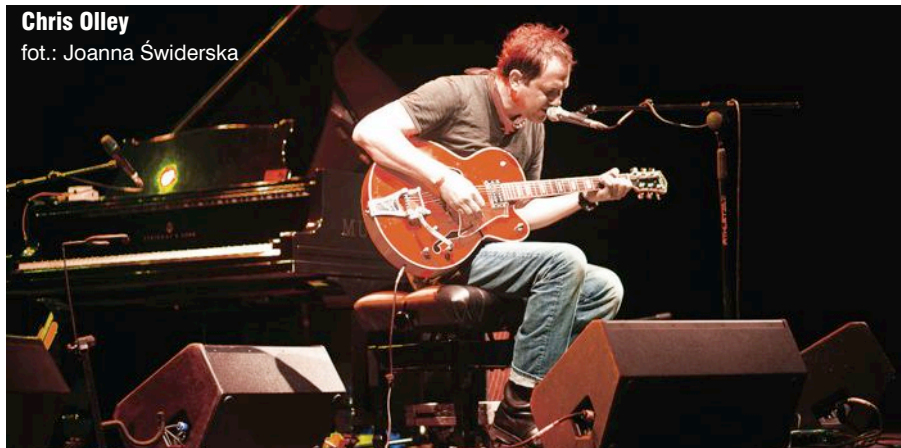
występ może być atrakcyjniejszy od najlepszego nagrania. Przekonał się o tym, kiedy w „Wytwórni” gościli dwa wymienione przed chwilą zespoły.

Jeżeli chodzi o The Divine Comedy, to pojawił się tylko lider zespołu – Neil Hannon. Był ubrany w elegancki czarny garnitur, białą koszulę z krawatem, a na głowie miał melonik. Aby dodać blichtru swojemu wejściu, pojawił się na scenie z kieliszkiem i butelką wina, którą w trakcie występu, a jakże, opróżnił.

O ile na płytach kapela The Divine Comedy brzmi czasami pretensjonalnie, to

Chris Olley

fot.: Joanna Świdowska





Neil Hannon z The Divine Comedy

fot.: Joanna Świdarska

Hannon udowodnił przed publicznością, że talentu mu nie brakuje, a jego repertuar nie potrzebuje okazałej instrumentalnej oprawy. Okazał się też świetnym pianistą i gitarzystą, a do tego czysto i na luzie śpiewał. Usłyszeliśmy zarówno starsze utwory, jak „National Express” czy „Becoming More Like Alfie” oraz piosenki z najnowszej płyty „Bang Goes The Knighthood”. Na dodatek Hannon okazał się elokwentnym konferansjerem, zabawiając fanów rozmową mię-

dzy piosenkami. Był wyraźnie zadowolony z pozytywnej reakcji publiczności i sugerował, że jeszcze do Polski przyjedzie. Byłoby świetnie.

Nie tylko on wypadł na żywo lepiej niż z konserwy. To samo można powiedzieć o zespole Sweet Billy Pilgrim. Koncertowe wersje utworów okazały się lepsze od płytowych, mimo że nad fonograficznymi dokonania grupy czuwa firma Samadhi Sound, należąca do Davida Sylviana – obec-

nie utalentowanego solisty, a wcześniej członka grupy Japan. Po wysłuchaniu nagrań z najnowszego albumu zespołu („Twice Born Men”) nie spodziewałem się aż takich atrakcji. Tymczasem lider na potrzeby występu wyraźnie zmienił formułę. Od nieco awangardowych, podbarwionych elektronicznie, a czasami celowo zniekształconych brzmień przeszedł do balladowego rocka z wyraźną folkową nutą. Interesujący okazał się sposób, w jaki trójka wykonawców interpretowała piosenki lidera. A dokonywali cudów. Piosenki rozpisano na głosy, a współbrzmienia wokalne miały w sobie zarówno urok, jak i odznaczały się odpowiednią ekspresją. Mimo że na scenie grały tylko dwa instrumenty strunowe, chwilami wydawało się, że rozbrzmiewa orkiestra.

Kiedy po koncercie Sweet Billy Pilgrim wychodziłem z „Wytwórni”, żałowałem melomanów stojących w kolejce po płyty. Na kompakcie „Twice Born Men” na pewno nie usłyszą tak pięknych interpretacji jak w czasie „Soundedit”. Kontakt z żywą muzyką, zwłaszcza wykonywaną przez zdolnych artystów, przebiję niejednym albumem, nawet jeśli maczali w nim palce najlepsi producenci. ■

Hector
Berlioz

TROJANIE

Valery Gergiev / Carlus Padrissa

11, 13, 16/01/2011



Patroni medialni TW-ON:

teatr Wielki.pl



SEZON '10'11 abonament



Pomysł na świąteczny prezent